

Podróże
Gulivera



*Feniks — symbol siły i nieśmiertelności,
od zawsze patronował temu,
co ważne i ponadczasowe,
co wciąż się odradza.*

W Klasyce z feniksem pragniemy zaprezentować kolekcję książek, które mimo zmieniających się mód nieustannie bawią i zachwycają rzesze czytelników.

Klasyka z feniksem to po prostu dobra literatura.

Jonathan Swift



Podróże Gulivera

Ilustrował Suren Vardanian
Tłumaczyła Cecylia Niewiadomska

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

Tytuł oryginału: *Gulliver's Travels*

Ilustracje: Suren Vardanian

Tłumaczenie: Cecylia Niewiadomska

Redakcja: Agnieszka Sabak

Korekta: Sylwia Chojecka

Skład: Paweł Maślarz

© Copyright by Skrzat, Kraków 2013

ISBN 978-83-7437-827-7

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski

31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77

tel. (12) 414 28 51

wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com.pl

Część I

U Liliputów



Rozdział I

URODZIŁEM się w Anglii, w hrabstwie Nottinghamshire. Ojciec był właścicielem niewielkiego folwarku i miał nas, synów, pięciu, a ja byłem trzecim z kolei. Początkowo moje wychowanie pozostawiało wiele do życzenia; nie obarczano mnie zbytnio nauką, a ja też nie garnałem się do niej. Dni upływały mi bardzo przyjemnie wśród wiejskiej swobody i pięknej natury. Lubiłem też nade wszystko włączyć się po lasach, łowić ryby, chwytac ptaki w sidła i tym podobne rozrywki.

Ojciec niejednokrotnie spoglądał na mnie spode łba, gdy powracałem zmęczony, przeproźnowawszy cały dzień. Chrząknął nawet nieraz głośniejsz niż zazwyczaj i ruszył wąsem, aż mrowie przeszło mi po skórze, ale najczęściej kończyło się tylko na tym i zaczynałem się nawet oswajać z tymi oznakami rodzicielskiego gniewu.

Skończyłem już czternaście lat, byłem silnym i zdrowym chłopcem; sam zaczynałem dochodzić do wniosku, że nie można dłużej tak żyć. Nie była to przecież moja wina.

W szkółce uczono tak niewiele, czytać i pisać umiałem od dawna, liczyłem biegle, a i z Pismem Świętym byłem dość obeznany. Mieliśmy też przez jakiś czas nauczyciela w domu, ale trwało to bardzo krótko. Był na tyle sumienny, że sam podziękował za miejsce, oświadczając, iż pogromca zwierząt byłby użyteczniejszy na tym stanowisku. Odtąd ojciec nie próbował szukać dla nas pedagoga, ale pewnego pięknego poranka zapakował mnie na bryczkę i zanim zdołałem jasno zdać sobie sprawę z tego faktu, zostałem oddany do zakładu w Cambridge, jednego z najświetniejszych w Anglii.

Trzeba było pogodzić się z odmianą losu, a ponieważ miałem to już w charakterze, że pogardzałem daremnym oporem, więc i tu, chociaż ciążyła mi niewola, całą energię zwróciłem ku pracy i zacząłem nawet smakować w pochwałach, zdobywanych często krwawym trudem.

Koledzy mówili, że jestem zdolny, profesorowie nie szczędzili zachęty, a ja sam, nie wiadomo kiedy, nabrałem zamiłowania do nauk przyrodniczych, zwłaszcza do anatomii i fizjologii zwierzęcej. Wtedy to powziąłem zamiar zostania lekarzem.

Wkrótce jednak okazało się, że szczupły dochód z naszego folwarku nie wystarcza na tak kosztowną edukację, i ojciec, nie chcąc krzywdzić innych dzieci, z wielkim żalem odebrał mnie z Cambridge i umieścił u sławnego londyńskiego chirurga, który miał mnie nauczyć swej sztuki.

Tak więc rychło zacząłem kształcić się w określonym kierunku, ale bez wielkiej ochoty. Nie wiem, czy była to wina mojego mistrza, pana Bates'a, czy odezwało się moje wrodzone lenistwo, dosyć że medycyna straciła dla mnie powab, a choć rzeczywiście skorzystałem z nauk mego nauczyciela, jednak z daleko większym zapałem zacząłem studiować wszystko, co potrzebne jest żeglarszowi.

Podróże w dalekie strony nęciły mnie jak Robinsona; nie mniej lekkomyślnie od niego pragnąłem rozpocząć pracę w nowym zawodzie. Uczyłem się też gorliwie matematyki, geometrii i marzyłem, że po paroletniej praktycznej służbie na okręcie będę mógł zostać kapitanem, to jest panem i królem statku, ulegającym jedynie żywiołom, a swobodnym jak ptak na skale.

W tym czasie jeden z moich wujów, odwiedzwszy mnie w Londynie, wzruszył się pochwałami, jakich mi nie szczędził pan Bates, zapewniając, że szkoda byłoby, aby tak wybitne zdolności nie zostały odpowiednio rozwinięte systematyczną nauką uniwersytecką.

Nie potrzebuję tu chyba dodawać, że ani mój nauczyciel, ani wuj nie domyślali się jeszcze zmiany moich projektów i upodobań. Wuj zabrał mnie ze sobą do domu, przedstawiając ojcu rzecz całą, ofiarował mi czterdzieści funtów na mój osobisty użytek i zobowiązał się wypłacać po dwieście

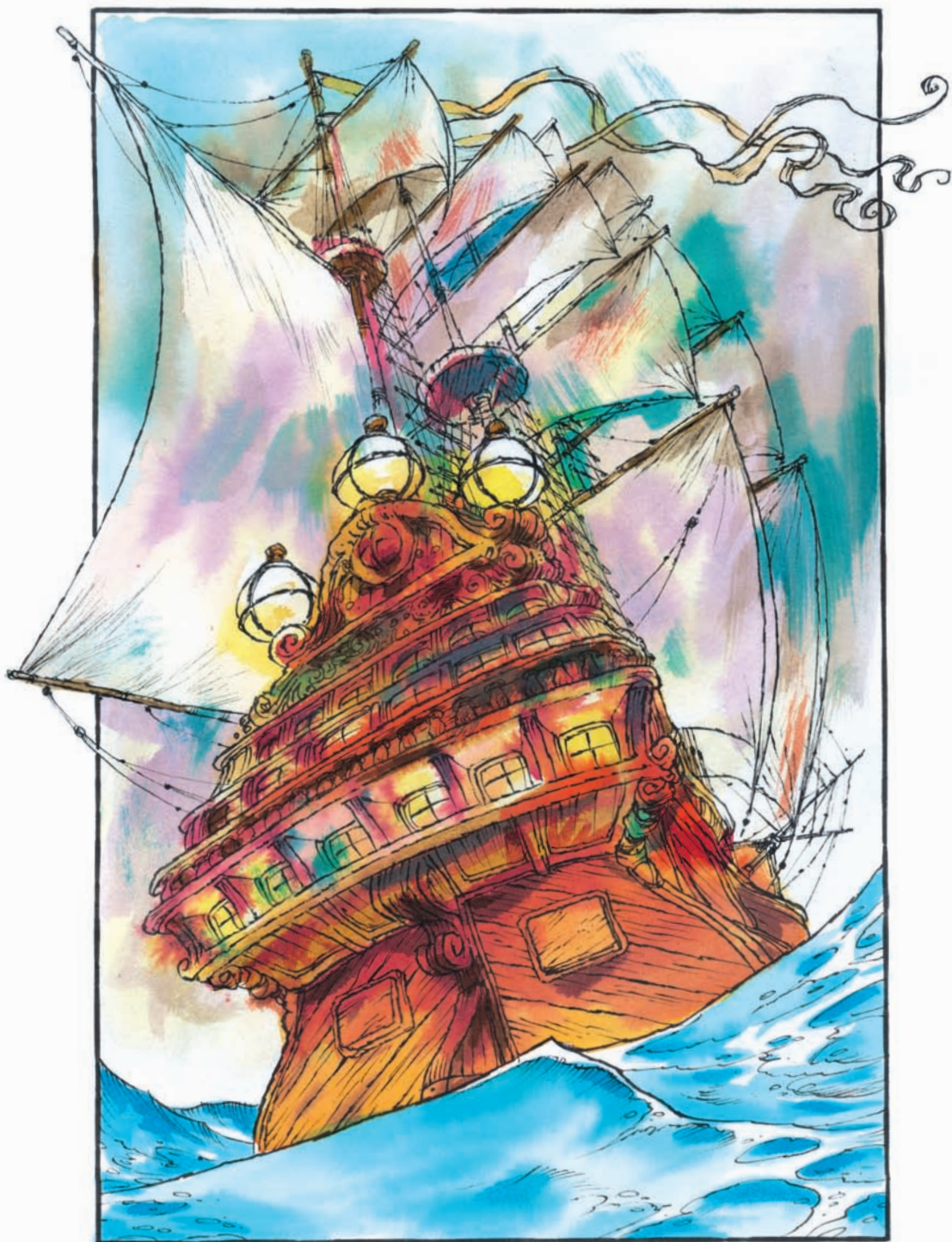
dolarów rocznie do czasu ukończenia studiów na jakimś zagranicznym uniwersytecie.

Naturalnie bez wahania przyjąłem to dobrodzieństwo. Medycyna nie była wprawdzie teraz moim celem, ale mogła być niezmiernie pożyteczna w razie spełnienia zamiarów, których nie myślałem się wyrzec. Tym sposobem spędziłem trzy lata w Lejdzie, zyskałem stopień doktora, a jednocześnie zdobyłem bardzo wiele pożytecznych wiadomości z fizyki i geografii.

Powróciwszy do Londynu, niezwłocznie udałem się do mego byłego opiekuna, nieocenionego pana Bates'a, prosząc, aby mi dopomógł w otrzymaniu miejsca lekarza na jakimkolwiek okręcie. Pilno mi było rozpocząć wędrowne życie, o którym marzyłem od wielu lat, i z wielką dumą i radością w parę tygodni potem wstępowałem na pokład „Jaskółki” jako lekarz okrętowy.

Ale całoroczna włóczęga po morzach zawiodła moje nadzieje: widocznie nie miałem szczęścia do przygód i wrażeń, nawet burze uprzejmie omijały nasz statek, a europejskie kolonie, które w innych częściach świata miałem sposobność poznawać i zwiedzać, nie budziły we mnie wielkiego podziwu. Powróciwszy też wreszcie z Nowego Jorku, postanowiłem osiąść już na stałe w Londynie i zająć się praktyką lekarską.

Pocziwy Bates znowu dopomógł mi z ochotą. Ciesząc się wielkim uznaniem i liczną klientelą, ustępował mi chętnie





pacjentów, polecał, chwalił, budził zaufanie, słowem, jak rodzony ojciec pracował nad moją przyszłością. Wkrótce miałem dostateczne i przyzwoite utrzymanie i pomyślałem o żonie, bez której pusto jakoś wydawało mi się w domu.

Nie szukałem jej długo. Panna Maria Burton, miła i pracowita córka najbliższej sąsiadki, właścicielki fabryki pończoch, od razu mi się spodobała, a w parę miesięcy potem została moją małżonką.

I znowu upłynęło parę lat, najszcześniejszych może w moim życiu. Nasze potrzeby i wymagania były skromne i mogliśmy je zaspokajać, a małe kółko przyjaciół i dobrych znajomych uprzyjemniało nam chwile wolne od pracy.

Ale ze śmiercią pana Bates'a wiele rzeczy zmieniło się w krótkim czasie. Przekonałem się wówczas, że nie potrafię walczyć o własnych siłach z błagą i szarlatanerią, którymi moi koledzy zjednywali sobie pacjentów. Tymczasem zmniejszyły się moje dochody, wydaliśmy nawet drobne oszczędności i trzeba było nie na żarty pomyśleć o jutrze.

Radziliśmy o tym dużo z żoną i przyjaciółmi i wreszcie zaproponowano mi na bardzo korzystnych warunkach miejsce okrętowego doktora.

Wobec pomyslniej sposobności wyjścia z przykrego położenia niepodobna było się wahać, więc znowu błądziłem przez sześć lat po dalekich i bliskich oceanach, kierowany obcą wolą i nie mając celu podróży. Przez ten czas rzeczywiście zebrałem sporą sumkę, a po powrocie do domu zdawało się nam, że damy sobie radę, tym bardziej że miałem teraz ustaloną pomiędzy żeglarzami opinię dobrego chirurga i sumiennego doktora.

Ale niestety, żeglarze mało przebywają na lądzie, wkrótce okazało się więc, że pieniądze zebrane z takim trudem wnet się rozejdą, jeżeli nie będę więcej zarabiał. Nie chcąc na wypadek nowego wyjazdu pozostawiać biednej Marii bez żadnego zabezpieczenia, zacząłem znów starać się energicznie o miejsce i 4 maja 1699 roku, po serdecznym pożegnaniu z żoną, wstąpiłem na pokład pięknej „Antylopy”, która w godzinę potem podniosła kotwicę i z rozpiętymi żaglami wypłynęła na zielone fale oceanu, kołysząc się lekko jak łabędź.

Celem naszej podróży były południowe morza między zwrotnikami. Kapitan Prichard zdawał się człowiekiem rozumnym i właściwie rozumiejącym swoją rolę, załoga była wyszkolona i świetnie dobrana. Przez parę

pierwszych miesięcy nasza podróż przebiegała pomyślnie, lecz zaraz po opuszczeniu Indii Wschodnich, zaledwie wydostaliśmy się na Ocean Wielki, zerwał się gwałtowny huragan, miotając nami we wszystkie strony z niezmierną siłą.

Wkrótce straciliśmy tor i kierunek. Skołatany statek miał znaczne uszkodzenia, a wiatr nie ustawał ani na chwilę. Nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, i niepodobna było robić żadnych obliczeń. Wyczerpana załoga traciła nadzieję i cierpliwość, kilku majtków było ciężko chorych, inni mimo straszliwego zmęczenia musieli ich zastępować. Cierpieliśmy też bardzo z powodu lichej żywności, gdyż woda morską, wciskając się na okręt przez liczne szpary, zepsuła nam znaczną część zapasów. Słowem, położenie było rozpaczliwe.

A wiatr nie ustawał, ale potężniał z każdym dniem. Z wściekłym rykiem pchał nas wciąż naprzód, grożąc rozbiciem i straszną zagładą.

– Gdzie jesteśmy? – pytali nieszczęśliwi.

– Czy zabłąkaliśmy się w jakąś nieznaną krainę wiecznych burz i orkanów? Czyż nie ma dla nas ocalenia?

5 listopada rozwidniło się bardzo późno z powodu gęstej, szarej mgły, która łączyła niebo z ziemią. Nagle ujrzeliśmy w niewielkiej odległości groźną skałę, o którą z hukiem rozbijały się spienione fale.

Spis treści

Część I U Liliputów



Rozdział I	7
Rozdział II	40
Rozdział III	64
Rozdział IV	83
Rozdział V	104
Rozdział VI	115
Rozdział VII	127
Rozdział VII	145

Część II Podróż do Brobdignag



Rozdział I	165
Rozdział II	192
Rozdział III	207
Rozdział IV	227
Rozdział V	234
Rozdział VI	258